W NOWEJ OJCZYŹNIE

JERZY SUCHOCKI

Wspomnienia te opisałem

dla moich córek

Katarzyny, Ewy i Agnieszki

oraz ich dzieci.

Chyba się zestarzałem, bo coraz częściej wracam wspomnieniami do swojego dzieciństwa i młodości, tam – do ziemi lidzkiej i tutaj – do zapomnianej przez Stwórcę i ludzi wsi Dłużec, potem do Sobieszowa i wreszcie do Jeleniej Góry (takiej, jakiej już nie ma).

Moja dzielna mama (Helena) została wdową z dwójką dzieci, mając lat trzydzieści. Po dziesięciu latach poniewierki wyrwała swoich zabiedzonych synów z kołchozowego piekła. Przyjazd do Polski stał się najważniejszym wydarzeniem naszego życia.

Rozdział pierwszy – trudny początek

Nad ranem, 14 marca 1957 roku, pociąg przywiózł nas z Brześcia nad Bugiem do „punktu repatriacyjnego" w Białej Podlaskiej. Oprócz podręcznych tobołków przywieźliśmy, w wagonie bagażowym, przedwojenną maszynę do szycia SINGER i nowy nabytek – ruski tandetny rower.

Wszystkich „repatriantów" (ponad sto osób) zakwaterowano w jakimś internacie. Na miejscu mieliśmy stołówkę i sklepik. Każdy obiad z trzech dań był dla nas ucztą. Zapamiętałem siwego i pomarszczonego „dziadka" (miał rzekomo czterdzieści pięć lat), który napomknął o swojej „resocjalizacji" na Sybirze. Po każdym posiłku Sybirak przynosił ze stołówki kromki chleba, suszył je na grzejniku pod oknem i upychał do płóciennego woreczka.

Siedzieliśmy w przytulnym przedziale pociągu relacji Biała Podlaska – Legnica, słuchając miarowego stukania kół. Obserwowałem uciekający krajobraz mając nos rozpłaszczony na szybie. Nasz współpasażer (z Polski) opowiadał o zmianach zachodzących w kraju.

Na legnickim peronie przykra niespodzianka. Pierwszymi miejscowymi okazali się ruscy sołdaci. – Boże, gdzieśmy przyjechali? – jęknęła moja rodzicielka. Na szczęście nie mieliśmy czasu na zastanawianie się, bo na sąsiednim torze czekał już pociąg do Lwówka Śląskiego.

To powitanie utrwaliło się w mojej pamięci. Ciocia Rózia, pulchna pięćdziesięciolatka, biegła przez podwórze z otwartymi ramionami. Z domu wyszła jej córka (Alina) trzymając za rączkę czteroletniego synka, Stefana. W drzwiach wejściowych pojawił się barczysty mąż Aliny, Henryk Babecki. Łzom i uściskom nie było końca…

Po tygodniu poznaliśmy Dłużec i najbliższą okolicę. Naszymi sąsiadami byli kresowianie i ludzie z różnych stron Polski, o których mówiło się, że są „z centrali". We wsi mieszkała też jeszcze jedna rodzina niemiecka, która szykowała się do wyjazdu.

Łąki i pagórki wokół zakwitły zielenią. Wiosenny nastrój udzielał się też nam – zagubionym zaburzanom. W odległości kilku kilometrów na wschód, za szachownicą pól i kamienistych ugorów, wznosiła się góra Ostrzyca. Miejscowi nazywali ją Szpicberg. Krążyły opowieści, że po wojnie mieli tam swoje kryjówki szaleńcy z Wehrwolfu.

Po tygodniu „laby" wysłano mnie do szkoły – do szóstej klasy w sąsiedniej Sobocie. Nie zapomnę pierwszego dnia w polskiej szkole. Po dzwonku do klasy weszła dziwna nauczycielka – gruba pani w czarnym „chałacie", z krzyżem na piersi. Rozpoczęła się modlitwa, podczas której czułem się jak na przysłowiowym tureckim kazaniu. Na przerwie sympatyczna „pani ksiądz" zaczęła mnie wypytywać: – Skąd jesteś? Czy byłeś ochrzczony? Wyjaśniłem, że jestem chrześcijaninem, ale kościół oglądałem tylko z zewnątrz, bo był zamknięty, a nasz ksiądz „pokutował" na Sybirze. W trakcie rozmowy obiecałem, że będę przychodzić na nauki przedkomunijne (z dziećmi o parę lat młodszymi ode mnie). Ale wpadłem… Druga lekcja była prawie normalna. Ładna pani od polskiego stanęła przy mojej ławce i zaczęła dyktować tekst, w którym były same trudne słowa. Co chwilę zerkała na moje wypociny, ciężko przy tym wzdychając. Po skończeniu zaczęła pastwić się nad moją pisaniną, kreśląc i coś dopisując „na czerwono". Okazało się, że zrobiłem chyba trzydzieści błędów (inne dzieci miały po kilkanaście). Na szczęście znałem już alfabet łaciński, bo we wszystkich szkołach radzieckich, od piątej klasy, nauczano języka niemieckiego.

Mój brat (Tadeusz) miał lepiej, pomagał w gospodarstwie i nawiązywał znajomości przy piwie lwóweckim.

Koledzy z klasy nie dokuczali mi, niekiedy tylko wybuchali śmiechem przy moich odpowiedziach. Alina, posłuchawszy mojego „razhaworu" z bratem, zdała relację ciotce: – Mamo, oni ciągle rozmawiają ze sobą po białorusku.

Na ceremonii wręczania świadectw mama była ze mnie dumna. Nie musiałem powtarzać szóstej klasy. Ja byłem szczęśliwy jeszcze z innego powodu. Komitet Rodzicielski zorganizował nam wycieczkę do Krakowa, Oświęcimia i Wieliczki.

Pierwszą połowę wakacji spędziłem przy sianokosach i na penetrowaniu okolicy. Henryk wygrzebał dla mnie ze strychu niemiecką lunetę teleskopową, z którą nie rozstawałem się.

W tym czasie nasza mama zadecydowała, że musimy wyprowadzić się i zacząć żyć samodzielnie. Dowiedziała się, że w Jeleniej Górze jest praca w Zakładach Odzieżowych. Na przydział mieszkania w „dużym mieście" nie mieliśmy jednak szans. Na szczęście odnaleźliśmy naszego ziomka, z Białohrudy, pana Alberta, który mieszkał w Sobieszowie. Albert był starym kawalerem i miał dwupokojowe mieszkanie w ładnym domu przy stacji kolejowej. Po rozmowie zgodził się odstąpić nam mały pokoik na jakiś czas.

Tadeuszem zaopiekowała się mamy kuzynka, Zofia Bebko ze Swarzędza. Ciocia Zocha miała złote serce i starała się pomagać wszystkim nieborakom. Przed wojną pracowała w Lidzie a do „nowej Polski" przyjechała razem z Rózią w 1946 roku. Mąż cioci Zofii, Kostek należał do AK i po „wyzwoleniu" Kresów przez armię radziecką (latem 1944 r.) nie miał tam szans na legalną egzystencję. Bebkowie mieli dwóch synów – Jarka i Edka oraz córkę – Krystynę.

Dzięki przedsiębiorczości ciotuni na Tadeusza czekało miejsce w Zasadniczej Szkole Zawodowej Mechanizacji Rolnictwa we Wrześni. Pod koniec lipca mój brat wyjechał do Swarzędza. Przy szkole był internat i to odpowiadało Tadziowi. Od szesnastego roku życia nauczył się żyć poza domem (przed przyjazdem do Polski przez rok pracował w Karelii i nad Morzem Białym).

Na początku sierpnia zamieszkaliśmy w Sobieszowie. Miasteczko od razu przypadło mi do gustu. Mama zaczęła pracować w „Odzieżówce". Do Jeleniej Góry dojeżdżała tramwajem. To była jedna linia wąskotorowa i tramwaje czekały na mijankach (podróż trwała około 50 minut). Wtedy Jelenia Góra wydawała mi się wielkim miastem – miała ponad 60 tysięcy mieszkańców.

W sobieszowskiej szkole nie było już większych niespodzianek. Do piętnastego roku życia byłem niewyrośniętym chuderlakiem i nie imponowałem swoją sprawnością fizyczną. A sport stał tu na wysokim poziomie. Oprócz boiska szkolnego Sobieszów miał stadion i basen.

Polonistka, pani mgr Pauli była wspaniałym pedagogiem. To dzięki Jej zaangażowaniu (i mojemu zamiłowaniu do czytania) w ciągu roku nieźle opanowałem język ojczysty.

Tymczasem w Dłużcu i w Płakowicach, gdzie mieszkał Aliny brat (Tadeusz Jakubowski) powiększyła się nasza rodzina. Alina urodziła córeczkę – Wiesię, a Janina, żona Tadeusza – Małgosię.

Nawet teraz, po wielu latach, przypominają się niedzielne uczty w Dłużcu i później w Płakowicach (tam przenieśli się Babeccy w 1964 roku). Na dużym, kuchennym stole pyszniły się, wyglądem i zapachem, bliny, jajecznica ze skwarkami, boczek, szynka i różne dodatki…

Życie w Dłużcu płynęło spokojnym nurtem. Organizowano zabawy w świetlicy; niekiedy pojawiało się kino objazdowe. Obydwie formy rozrywki miały swój urok. Oprócz miejscowych na zabawę przyjeżdżali (zawsze motocyklami) kawalerowie z sąsiednich Twardocic i z Soboty. Zabawy na ogół kończyły się bijatyką, ale to było „normalne" – jakby w programie. Seanse filmowe zaczynały się wieczorem. Pani „sklepowa" oferowała na te okazje słodycze i napoje, np. wina „patykiem pisane". Mężczyźni siadali na stołach pod ścianą, płeć piękna zajmowała miejsca na krzesłach a nieletnia młodzież na podłodze pod ekranem. Miało to swoją zaletę, ponieważ ekran, oglądany z dalszej odległości, tonął w smugach dymu papierosowego.

Szwagier Heniek tak tłumaczył swoją obecność w gospodzie. – Jadę furmanką do Urzędu Gminy sprawę załatwić a ta cholera, Baśka (kobyła) zatrzymuje się przy gospodzie, odwraca łeb i patrzy na mnie. No i jak tu nie wysiąść.

Oglądam fotografie sprzed półwiecza. To moja siódma klasa. Kojarzę twarze z imionami. Co przyniósł los tym dzieciakom? Wiem tylko, że Eustachy Rylski jest znanym literatem. Wypożyczam z biblioteki jego powieści. Jadzia Fabiszak studiowała filologię polską, później uczyła w szkole. Pani Pauli często wspominała jedno z jej wypracowań.

Wracam do przeszłości. Święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok 1958 powitaliśmy na nowym miejscu. Otrzymaliśmy małe mieszkanie „kwaterunkowe" przy ulicy Agnieszkowskiej. To był ostatni dom Sobieszowa, przed tablicą JAGNIĄTKÓW. To nowe miejsce zamieszkania stało się udręką dla mojej matki. Pracując na pierwszej zmianie nastawiała swój ruski budzik na godzinę czwartą, wracając z drugiej zmiany była w domu o północy. Ja na zmianie adresu zyskałem; za domem miałem las a w pobliżu dobre miejsca do zjeżdżania na poniemieckich nartach.

Wiosna tego roku była piękna. Puszczałem wykonane samodzielnie szybowce i buszowałem z kolegami po lasach – od podzamcza po Jagniątków.

Zbliżał się koniec roku szkolnego; należało pomyśleć o dalszej edukacji. Na świadectwie miałem dobre oceny i chyba dlatego wychowawczyni doradziła mi, żeby złożyć „papiery" w Technikum Mechanicznym. Na jedno miejsce ubiegało się chyba czterech kandydatów. Egzaminy jednak zdałem i zostałem przyjęty. Otrzymałem zaraz spis niezbędnego wyposażenia szkolnego. Moja biedna mama złapała się za głowę. – Ile to wszystko będzie kosztować? Na szczęście podręczniki i przybory kreślarskie nie były drogie. Najważniejszą pozycją wyprawki okazał się mundurek: granatowe bluza i spodnie, czapka oraz tarcza szkolna. To były nasze znaki rozpoznawcze – powód do dumy.

Tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego przeprowadziliśmy się do Jeleniej Góry. Zamieszkaliśmy w pokoju sublokatorskim, przy Placu Ratuszowym, przygarnięci przez samotną panią Anielę. Z żalem rozstawałem się z Sobieszowem i kolegami.

Rozdział drugi – dojrzewanie

Okazały gmach Zespołu Szkół Mechanicznych, przy ulicy Kilińskiego, wzbudzał szacunek (a dyrektor, inżynier Gucma, tym bardziej).

Nasza pierwsza klasa była liczna; czterdzieści pięć par oczu obserwowało się nawzajem – sami chłopcy. Wychowawca, Stanisław Radwański, trzydziestoletni magister wychowania fizycznego był sympatyczny, ale wymagający. Żarty skończyły się, kiedy zapoznaliśmy się z rozkładem zajęć – pięć dni nauki, po sześć i siedem lekcji, i dzień warsztatów szkolnych.

Regulamin szkolny zawierał różne nakazy i zakazy. Dotyczyły one obecności, ubioru, fryzury, zachowania w szkole i poza nią itp. Obowiązywał nas oczywiście, jak wszystkich niepełnoletnich, zakaz przebywania poza domem po godzinie dwudziestej. Ta godzina milicyjna nikogo wtedy nie bulwersowała.

Po pierwszym tygodniu nauki poznaliśmy wszystkich naszych nauczycieli. Odnieśliśmy wrażenie, że każdy z nich uważa swój przedmiot za najważniejszy. Nie wszyscy pedagodzy przypadli mi do gustu. Matematyczka prezentowała swoją mentalność oschłej, starej panny a instruktor warsztatów okazał się kapralem.

Pomimo to, będąc już na emeryturze, postawiłem mojej szkole ocenę najwyższą.

Oto fragment wiersza: ·…Dla *moich belfrów mam uznanie* –

– nauk królowej poznałem smak.

Wdzięczny im jestem za staranie,

oświacie tamtej za reform brak.

Jestem przekonany, że późniejsze „naprawianie” szkolnictwa przyniosło mu ogromne szkody (przede wszystkim obniżył się poziom nauczania).

Wracam do epoki gomułkowskiej… Nasza starówka wołała o ratunek. Wiele budynków nadawało się, prawdopodobnie tylko do rozbiórki.

Naszymi sąsiadami okazali się krajanie (z Białorusi). To były dwie spokrewnione ze sobą rodziny – Alaszewiczowie i Szymańscy.

Będąc uczniem Technikum nigdy nie nudziłem się. Po lekcjach miałem kilka godzin nauki w domu. Były to różne zadania, ćwiczenia, wypracowania, rysunki techniczne i odręczne itd. Kalkulatorów jeszcze nie mieliśmy; zastępowały je suwaki logarytmiczne.

W połowie roku szkolnego zaprzyjaźniłem się z Longinem Wołodźko i Jurkiem Nowickim, a później z Janem Ławrockim, Jackiem Chwalibogiem i Witkiem Borsukiem. Przyjaźnie te przetrwały do końca. Tak – nawet do końca życia ziemskiego. Moi trzej przyjaciele już spoczywają na cmentarzach (Jacek od wielu lat).

W drugiej klasie, oprócz zajęć w warsztatach szkolnych, uczono nas zawodu w Fabryce Maszyn Papierniczych w Cieplicach i w jej Odlewni Żeliwa przy ulicy Kilińskiego (teraz w tym miejscu rosną brzózki i plenią się chaszcze).

Poznałem już całe miasto – od Celwiskozy, która zatruwała rzeki i powietrze, po dworzec PKP i Raszyce (teraz ulica Wiejska). Zabobrze jeszcze wtedy nie istniało. Wzgórza i lasy otaczające nasz gród miały wiele uroku także zimą. Na narty i sanki chodziliśmy na Rakownicę i na pogórki za cegielnią i „hyclem” (teraz są tam ogrody działkowe). Ośrodek Wypoczynku „Rakownica” jeszcze nie był pobudowany. A dzisiaj już go nie ma – jest żałosna ruina! Po cegielni został staw, po którym pływają kaczki i łabędzie – dobre i to.

Na pierwszą wyprawę w Karkonosze (na Odrodzenie) wybrałem się w nowych półbutach. Przeszliśmy (Longin i ja) około trzydziestu kilometrów. Powrót, do przystanku tramwajowego w Podgórzynie, był moją drogą przez mękę… Tydzień wcześniej wróciłem ze Swarzędza. Cały lipiec spędziłem u rodziny Bebków; łowiłem z kuzynami ryby w jeziorze, pływałem łódką i kąpałem się.

W sierpniu 1960 roku szykowaliśmy się do kolejnej przeprowadzki. Większość domów przy Rynku była wyburzona (cukiernia „U Turka” też); nasz czekał ten sam los. Tam, gdzie gruz był uprzątnięty rozpoczęto odbudowę.

Otrzymaliśmy przydział na dwupokojowe mieszkanie obok kina „Marysieńka”. Pożegnaliśmy się z panią Anielą i krajanami, jak później okazało się, nie na długo.

Tramwaj robił nam pobudki o czwartej rano, zgrzytając i jęcząc pod oknami. Ciężarówki też nie były lepsze, ale zaczynały hałasować trochę później. Nasze sąsiadki często kłóciły się ze sobą. Jedna z nich, pani Maria, kobieta okazałej postury (w wieku emerytalnym), była bezdzietną wdową. Usiłowała wszystkich sobie podporządkować. Nawet mała myszka nie mogła przemknąć korytarzem bez jej wiedzy; słuch miała nadzwyczajny. Muszę przyznać, że była też dobra i opiekuńcza; stała się moją „drugą mamuśką”. Moją mamę od wielu lat nękały silne bóle głowy. Okazało się, że miała „guza” w okolicy mózgu. W trudnych chwilach pani Maria troszczyła się o nią jak mogła.

Mój brat nareszcie wrócił w domowe pielesze. Zaraz jednak odnalazł rodzinę Alaszewiczów i prawie zadomowił się u nich. Magnesem, który tam jego przyciągał była Ziuta. Miała osiemnaście lat; miała też ambitne plany i urodę. Pracowała w Zakładach Odzieżowych i uczyła się w szkole wieczorowej. Za namową jej ojca Tadeusz zatrudnił się w Przedsiębiorstwie Budownictwa Mieszkaniowego jako kierowca. Przydzielono mu Pogotowie Techniczne, którym obsługiwał wszystkie budowy w regionie.

W tamtym czasie lubiłem chodzić do kina. Kinomanów było wielu i dlatego na niektóre seanse, głównie westerny, po bilety ustawiały się długie kolejki. Posiadaczy telewizorów jeszcze nie znałem. Ci nieliczni nie mieli lekkiego życia, bo w czasie emisji Bonanzy, Zorra albo Kobry musieli przyjmować sąsiadów i znajomych.

Zauważyłem, że zaczyna mi pogarszać się wzrok. Stałem się krótkowidzem i pierwszym w klasie okularnikiem. Po roku było nas więcej.

Nasza szkoła wykonywała niekiedy usługi dla zakładów przemysłowych. Były to małe rysunki i opisy na kartach technologicznych. Zamiast wynagrodzenia mojej klasie opłacono dwie wycieczki. Najpierw pojechaliśmy do Krakowa i Zakopanego, potem podziwialiśmy czeskie Karkonosze. To tam, w Spindlerowym Młynie, naszego Longina poraziła strzała Amora. Zakochał się miejscowej „holce”, szesnastoletniej Janie, którą „papieńka” wysłał (z kanką na mleko) po piwo. Później, chyba przez rok, pisali listy po rosyjsku. Longina tłumaczem byłem ja.

Na lekcjach najwięcej wrażeń dostarczały nam zajęcia z inżynierem Krzyszofem B. To były dwie lub trzy kolejne godziny lekcyjne. Znajdowaliśmy więc czas, po zgłębieniu zawiłości części maszyn, na część nieoficjalną. Prawie każdy wykład stawał się lekcją historii i patriotyzmu, ucieczką od zakłamanej rzeczywistości. Pan Krzysztof miał około trzydziestu lat; był wysoki, wysportowany i energiczny. Nie pozwalał uczniom garbić się i zachęcał do ćwiczeń sprawnościowych. Pan B. był lwowiakiem z krwi i kości. Nie bał się mówić prawdy: o obronie Lwowa, o cudzie nad Wisłą, o czwartym rozbiorze Polski i o Katyniu. Kpił z partyjnych autorytetów, tych na świeczniku i naszych miejscowych. Z dyrektorem Gucmą pan Krzysztof miał często „rozmowy".

Przed każdym Świętem Pracy mgr Radwański nie szczędził wysiłku aby, na lekcjach Przysposobienia Wojskowego, nauczyć „swoją" klasę maszerować. Mieliśmy stanowić „kompanię reprezentacyjną" szkoły – kroczyć za pocztem sztandarowym.

Oto fragment mojego wierszyka okolicznościowego:

...Z Pe-Wu szkolenie miałem twarde;

daleko było do odnowy.

Chłopaki miny mieli harde

szlifując krok defiladowy.

Za to w pochodzie przed Iwanem

z trybun zbieraliśmy owacje.

Sekretarz też był ludzkim panem –

– z portretu słał nam gratulacje…

Na wspomnienie tych pochodów zasłużonym towarzyszom łza w oku się kręci. Młodzieży wyjaśniam, że Iwan był „pomnikiem wdzięczności". Teraz ten radziecki żołnierz czuwa nad grobami swych frontowych braci.

W trzeciej klasie mundurki szkolne już nie były obowiązkowe; wkładaliśmy je tylko na specjalne okazje. Nadchodził szalony czas twista, płyt pocztówkowych i gramofonów BAMBINO. Z żaglowego płótna szyło się spodnie – „rury" i „dzwony". W tym czasie zacząłem uprawiać kulturystykę. Byłem już wysokim i silnym siedemnastolatkiem.

…Wyrwałem ostatnią kartkę starego kalendarza; rozpoczął się rok 1962. Tadeusz i Ziuta wrócili z zabawy sylwestrowej. Zaplanowali, że pobiorą się w lutym.

Zima podarowała jeleniogórzanom zaspy śnieżne i tęgie mrozy. W szkole i w internacie zaczynało brakować koksu. Zanosiło się, że szkoła zostanie zamknięta na tydzień albo dwa. Postanowiliśmy dopomóc naturze otwierając na przerwie wszystkie okna. Po dzwonku, przy zamkniętych już oknach, termometr w klasie wskazywał 10 stopni. Po naradzie z wychowawcami dyrekcja podarowała uczniom dodatkowe ferie.

…Zakwitły bzy i kasztany. Przez uchylone okna klasy nasze zmysły spijały uroki wiosny. Głos nauczyciela oddalał się i zanikał. Liczyliśmy dni do wakacji.

Budowa osiedla Zabobrze nabierała rozmachu. Tadek i Ziuta wiedzieli, że rosną tam też cztery ściany dla nich.

Na wakacje znów pojechałem do ciotki Rózi i Babeckich. Wieś coraz bardziej wyglądała na opuszczoną. – Stąd młodzi uciekają do miast – skomentował Heniek. Tego lata też wybrałem się na Szpicberg, aby nacieszyć oczy widokiem sielskiej okolicy…

Pierwszy dzień września to moje urodziny – skończyłem osiemnaście lat. Nie czułem się jednak dorosłym; koledzy też nie. Wygłupialiśmy się jak przedtem.

Na komisji wojskowej przyznano mi kategorię „C”.

Po Nowym Roku przyszedł czas studniówek. Na naszej bawiliśmy się w klubie garnizonowym. Nie miałem swojej dziewczyny, ale Longin był dobrym kolegą i przypomniał sobie, że ma „taką jedną” w rezerwie.

W lutym przydzielono nam tematy prac dyplomowych. Moim zadaniem było zaprojektowanie dwóch podzespołów wciągarki do suwnicy. Zaliczenie pracy stanowiło warunek dopuszczenia do egzaminów maturalnych. Złożyłem swój projekt „za pięć dwunasta”, czyli w przedostatnim dniu kwietnia.

Do naszej kotliny zawitała wiosna, a ja prawie jej nie zauważałem.

I wreszcie wybiła godzina. Egzaminy pisemne zdawaliśmy z języka polskiego, matematyki i części maszyn, a ustne z wiedzy o Polsce i świecie współczesnym oraz z dziedzin dotyczących pracy dyplomowej. Tych egzaminów ustnych też nie należało lekceważyć (naszego najlepszego matematyka, Jacka Chwaliboga, pogrążyły odpowiedzi na temat EWG i RWPG).

W dniu ogłoszenia wyników czekaliśmy na listę naszej chwały albo klęski – my w korytarzu a rodzice przed szkołą. Jest lista… – Tak, jestem technikiem mechanikiem! Wychodziłem z gmachu swojej szkoły w dziwnym nastroju. Byłem szczęśliwy, ale trochę jakby zasmucony. Czy to początek dorosłego życia?

Epilog

– Zofia Bebko wyjechała (w r. 1965) do swojej siostry, Karoliny Szymańskiej, do USA z córką Krystyną. Potem sprowadziła tam syna, Edka (z jego żoną i córką). Teraz żyją tylko: Krystyna w USA i jej brat, Jarek w Swarzędzu. Edek i jego żona (Janka) zmarli przedwcześnie, ich córka (Ewa) zginęła tragicznie.

– Ciocia Rozalia i Babeccy przeprowadzili się (w r. 1964) do Płakowic (teraz dzielnica Lwówka Śl.). Z rodziny pozostali przy życiu: Stefan, Wiesia i Janina (żona Tadeusza Jakubowskiego). Wszyscy mają swoje dzieci i wnuczęta.

– Moja mama, Helena, zmarła w r. 1999.

– Mój brat, Tadeusz, zmarł w r. 2007. Pozostawił dwóch synów (Jarka i Andrzeja), którzy mają swoje rodziny.

– Ja i moja żona, Krystyna, mamy trzy córki i dziesięcioro wnucząt. Najstarsza córka (42 lata) mieszka w Jeleniej Górze, średnia w Nowym Jorku, a najmłodsza w Swarzewie, na Kaszubach. I tam, 6 września, urodziła się moja najmłodsza wnusia, Helenka (w tym czasie, kiedy kończyłem opisywać te wspomnienia). Moje amerykańskie wnuczęta (Krystian, Konrad i Natalka) dobrze mówią po polsku.

– Inżyniera Krzysztofa B. widuję w kościele albo na ulicach naszego miasta. Chciałbym tak dobrze prezentować się będąc w jego wieku. Czy dożyję?

(7 września 2010)

W Piechowicach serce straciłem,

bo praca przesłoniła mi świat.

Wiele projektów wymyśliłem

zanim minęło czterdzieści lat.

I tam poznałem moją żonę

(już mają dzieci nasze córki).

Już nie pracuję, książki chłonę

a moje życie pędzi z górki…

– Co ty tak ślęczysz? – pyta żona.

– Pisałem o swojej młodości.

– Czas na kawę, jestem zmęczona.

– Tak – wracam do rzeczywistości.

Przecieram szybę, znów się poci.

Patrzę – mgiełka nad Cieplicami,

Chojnik ślicznie w słońcu się złoci

a w Kotłach już śnieg pod chmurami.

Jelenia Góra, listopad 2008, wrzesień 2010